

Kuba Turkiewicz
KSIEŻYC ŻYWYCH TRUPÓW

Doktor Jos' eph Mn'gele z planety Pau adr' Ata patrzył na owoc swego geniuszu. Trzynastu zabitych szturmowców ułożono na wznak pośród ramion aparatu. Wokół bazy szalała burza ale Mn'gele nie zwracał uwagi ani na huragan ognia ani odległe odgłosy eksplozji. Wierzył, że Gwiazda Śmierci jest bezpieczna. Piloci rebelianckich myśliwców dawno już zrezygnowali z ataku na chronioną pochodzącym z Endoru polem siłowym powierzchnię bazy i ginęli teraz gdzieś w otchłani, wciągnięci w genialną pułapkę Cesarza. Flota imperialna kończyła gwiazdą dezynfekcję, dezynsekcję i deratyzację galaktyki.

- Szkoda - powiedział doktor Mn'gele.

Obawiał się, że po zakończeniu konfliktu zapotrzebowanie na jego geniusz zmaleje, a co za tym idzie budżet laboratorium zostanie znacznie ograniczony. Wiedział jednak, że twory takie jak Imperium rozpadają się, kiedy zabraknie spajającego je zagrożenia uznał więc, że Cesarz z pewnością znajdzie innego wroga. Odetchnął z ulgą.

Głośny syk pneumatycznych ramion grodzi wyrwał go z zamyślenia. Odgłos zdecydowanych kroków wzmocniony metalicznym rezonans podłogowej kraty wzbudził przelotną ciekawość.

- Kto tam? - zapytał nie odwracając wzroku w stronę intruza.

- Witam doktorze - powiedział grand moff Bohen, wiedząc, że zostanie rozpoznany po głosie

- Sytuacja się skomplikowała. Otrzymałem rozkaz ewakuacji laboratorium.

- Ależ to niemożliwe! W tej chwili podawane jest serum.

- Niestety trzeba przerwać proces. Baza na Endorze zniszczona, nic nas nie chroni.

- Ewakuacja? W momencie Triumfu? - obruszył się Mn'gele. - Chyba przeceniacie ich szanse!

- Pana wiara w siłę floty jest pana słabością....

- A pana słabością jest wielki nos. Niech mi pan nie zawraca dupy, ja tu pracuję.

Grand moff Bohen nie przywykł aby zwracano się do niego w taki sposób, jednak uwaga dotycząca nosa nieco zbiła go z pantafelku. Od dawna nosił się z zamiarem zoperowania tej części ciała. Najpierw jednak poddał się operacjom redukującym bardziej ewidentne niedoskonałości. Zaczął od odstających uszu. Operacja powiodła się, i kiedy po dwóch tygodniach cierpienia spojrzął w lustro, zrozumiał że chirurgia plastyczna jest jak narkotyk! Czym prędzej zapisał się na odsysanie tłuszczu. Liposukcja również przyniosła świetne rezultaty więc wyregulował sobie linie brwi, trochę powiększył oczy i wygładził rysy twarzy przez wstrzyknięcie bioregulatora. Teraz pozostał tylko nos.

"Czy Mn'gele może wiedzieć o moich planach?" - myślał, czując że rumieni się na twarzy.

- To niemożliwe! - krzyknął.

- Mówię człowieku, nie truj duszy! - zirytował się naukowiec uderzając Bohen'a w głowę przygotowanym zawczasu kalendarzem typu agenda, który trzymał oburącz za dłuższe krawędzie. - Mam tu trzynastu martwych szturmowców. W tej chwili medyczne roboty wstrzykują im najnowszą wersję substancji THX 1139! Za chwile te zwłoki ożyją! Rozumiesz co tu się dzieje? To epokowa chwila! Historyczny moment! Substancja medichlorianowo-glutaminowa z dodatkiem l-karnityny i beta-karotenu oraz dziewięćdziesięcioprocentowych saponin steroidowych uczyni z nich normalnych ludzi, którzy myślą, czują, jedzą chleb, kochają, weselą się, chodzą do kina wysyłają kupony totalizatora sportowego i oburzają się kiedy ktoś wykorzysta w sztuce symbole religijne o których w codziennym życiu tak naprawdę nie pamiętają, a już na pewno nie rozumieją ich prawdziwego znaczenia! Będą mogli po raz drugi zostać mięsem armatnim! Czy zdajesz sobie sprawę jaka to oszczędność? To lepsze niż klony!

Tymczasem zadrżała podłoga! Bohen zrozumiał, że nie warto tracić czasu na czczą gadaninę a zamiast tego trzeba pierzchać!

- Czmycham! - krzyknął naprędce i jak powiedział tak zrobił.

Doktor Mn'gele tymczasem obserwował swoje dzieło. Jego beznamienne zazwyczaj oblicze rozjaśnił uśmiech. Twarz znana szerokim masom jedynie z holowizyjnych migawek nosiła znamiona arystokratycznego pochodzenia, a domieszka doświadczenia nadawała jej wyniosły, pełen godności wyraz. Zwłaszcza, że było to doświadczenie na ludziach! Jednak ledwie oczy naukowca zaśmiały radością, pojawiło się w nich niedowierzenie a wreszcie przerażenie i trwoga. Dla rozczarowania nieudanym eksperymentem zabrakło już miejsca, dla panicznej ucieczki zaś - czasu!

*

Ewok Wombat nie cieszył się zwycięstwem. Nic dziwnego, łatwo się cieszyć kiedy wszyscy przyjaciele wracają z pola boju! Rodzina Wombata nie wróciła. Ojciec, stary Gazebo stał się pierwszą ofiarą tzw. "friendly fire" - śmiertelnie ranił go wyrzucony z procy ewoka Wicketa kamień. Wicket strzelał gdzie popadnie - łącznie zabił jedenastu ewoków a dwudziestu ciężko ranił.

Trafił też jednego szturmowca więc ogłoszono go bohaterem. Podobno przyjaźń z grubymi fiszami z sojuszu nie ma tu nic do rzeczy.

- Niab niab - wycedził Wombat przez zęby. Znaczyło to mniej więcej tyle co "Wyrażam głębokie oburzenie, zjadłbym też trochę kisielu!".

Wombat przyklepał niewielką łopatką kopiec ostatniej mogiły i zmówił krótką modlitwę. Lubił przebywać na tym starym ewockim cmentarzu - często tu przychodził z dziewczynami aby zaimponować im odwagą. Tym razem jednak szukał zadumy i spokoju, którego nie sposób było znaleźć w wiosce. Przybyli rebelianci rozpanoszyli się tam jak najgorsza zaraza - jedli, pili i tańczyli nie bacząc na żalobę i poniesione przez ewoczy lud straty. Nikt także nie pochylił głowy nad ofiarą poniesioną przez przeciwnika a przecież w momencie eksplozji gwiazdy śmierci straciło życie kilka milionów istot! Wombat zastanawiał się czy ci reprezentanci kultury człowieka pogrzebali w ogóle swoich zmarłych. Był ciekaw czy ktokolwiek ofiarował modlitwę w intencji dusz zabitych w kosmicznej otchłani pilotów? Wydawało się, że nie. Ludzie w kombinezonach śmiali się i tańczyli, opróżniali ewocze spiżarnie z wina - wyjadali mięswo. Kalamarianie, sulusianie i inni tzw. sojusznicy również podrygiwali w rytm rozwiązłej ludzkiej muzyki - jakby zapomniawszy o swoich korzeniach. Czyżby wyrzekli się swej kultury? - myślał.

Nagle stał się niespokojny. Ewoczy zmysł podpowiedział mu, że niebezpieczeństwo nadchodzi z góry.

- Niab niab - powiedział ponownie lecz tym razem znaczyło to: "Cholera jasna, czy te szczątki Gwiazdy Śmierci przestaną kiedyś spadać?". W tym samym momencie niebo przecięła ognista smuga i w sam środek cmentarza uderzyła bryła metalu. Gdyby nie gęsta warstwa atmosfery przez którą ten fragment kosmicznego rumowiska musiał się przedrzeć być może dałoby się odczytać treść umieszczonego na nim emblematu z napisem "biohazard". Niestety emblemat spłonął!

*

Grand moff Bohen walił pięścią w kokpit.

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego?! - wrzeszczał, nie dbając szczególnie o dykcję i śliniąc się w bezsilnej wściekłości - dlaczego akurat teraz, ty cholerna kupo złomu, ty idiotyczny, zgnojenny statku kosmiczny, który zepsuł się akurat podczas ewakuacji! Ja nie chcę lądować na Endorze! Przecież tam roi się od ewoków i rebeliantów! Ratunku, help und hilfееее! Na pomaść! Pomagitie! Secours! Secours!

Komunikat, który ukazał się na niewielkim ekranie monitora komunikacyjnego nie pozostawiał cienia nadziei. Trzeba lądować!

Bohen padł na kolana i walił pięściami w plastalową podłogę. Nie pomogło! Nie rozładował frustracji więc zaczął obracać się dookoła na czworakach jak pies goniący własny ogon.

- Nie! Nie! - wrzeszczał. - Gdzie jest ta wasza Moc? Jeżeli Moc istnieje to dlaczego pozwala bym cierpieć? Ja zawodzę! Ja wyję! Gdzie jest ta wasza moc?!

Komputera pokładowego nie wyposażono w sztuczną inteligencję a tym bardziej nie wbudowano weń modułu empatii, więc nie reagował. Kierując się chłodną logiką robił tylko to, co konieczne by uniknąć katastrofy. Ponieważ, gdzieś pomiędzy plastalowymi ścianami poszycia a elegancką granatową boazerią zdobiącą wnętrze promu "Niemrawy Przetacznik", wybuchł trawiący rozmaite bezpieczniki, przewody i czujniki pożar, natychmiastowe lądowanie było jedyną szansą ratunku.

Gdy tylko wygasły silniki w głośnikach rozmieszczonych wzdłuż osi głównego pokładu rozległ się zmysłowy generowany przez nowoczesną kartę dźwiękową kobiecy głos:

- Stan zagrożenia życia! Uprasza się o opuszczenie statku. Za zagubioną garderobę oraz drobne przedmioty codziennego użytku nie odpowiadamy. Proszę natychmiast kierować się w stronę wyjścia. Reklama: Czuję się jakbym połknęła balon. Muszę koniecznie zażyć "Aktywny Bąk"! O pomogło! Już nie mam wzdęć. Pamiętaj! Aktywny Bąk" firmy Spacemed w szerokiej gamie kolorów i smaków. Konsument pryka a balon znika! Koniec reklamy. Do eksplozji pozostało dwadzieścia sekund. Proszę natychmiast kierować się ku wyjściu. Zielone diody wskazują rampę wyjściową. Reklama: Dlaczego Corelianie najczęściej wybierają APPA? Bo boli ich głowa...

Bohen zrozumiał, że jeżeli nie zacznie działać to umrze. Zerwał się na równe nogi i sprintem ruszył w stronę drzwi.

"Rozpacz rozpacz, ale trzeba ratować tyłek" - myślał. Gryzący dym wdzierał się w oczy i uszy, penetrował szczeliny między zębami i brutalnie szarpał odzież. Mimo to wielki moff dotarł do wyjścia na czas. Rzucił się kosmicznym szczupakiem w pobliskie zarośla i czekał aż rozpęta się piekło. Doczekał się. Statek wybuchł!

Mimo, że Bohem nie stracił przytomności, udało mu się ją odzyskać dopiero po kilku sekundach. To paradoks, który wśród fizyków znany jest pod nazwą paradoksu jednego brata bliźniaka samego siebie.

- Przeżyłem - powiedział Bohem wypluwając odrobinę zielonej masy będącej niczym innym niż spacepeyotlem czyli pogryzionym liściem rośliny kshaakh wymieszanej ze śliną.

Odchrząknął, zakaszał a wreszcie kichnął i rzekł: - Przeżyłem!

Poprawił paradny imperialny mundur i wyprężył się jak struna a w powietrzu rozległy się tony Imperialnego Marsza. Wielki moff poczuł wzruszenie a jego serce wypełniła duma. Żył! Przetrwał bo był człowiekiem! Imperialnym żołnierzem! Lata szkolenia, tysiące dni przeżytych w wierności intergalaktycznej ojczyźnie musiały zaowocować odrobiną szczęścia. W jednej chwili zrozumiał, że po prostu całym swym życiem zasłużył na to by wyjść obronną ręką z tej opresji. Zrozumiał, że ma szansę. Tymczasem Marsz Imperialny narastał i narastał - stawał się coraz głośniejszy.

Usta Bohem'a poruszyły się bezgłośnie a każdy kto umie czytać z ruchu warg mógł odczytać z nich słowo:

- Duvall ...

Porucznik Kill'Gore Duvall - szalony dowódca eskadry tie bomberów, który zwykł puszczać przez ogromne głośniki Marsz Imperialny podczas każdego ataku na cele naziemne!

Twierdził, że niszczy to morale wroga. Podobno niekiedy dla odmiany serwował także "Into the trap" lub opcjonalnie "Całowanie Walkirii" ale tej informacji wielki moff nigdy nie miał okazji zweryfikować. Być może dziś pojawi się stosowna okazja!

- Jeżeli Duvall tu jest, to Rebele zaraz dostaną łupnia! - krzyknął Bohen.

Tymczasem muzyka ucichła a ponad koronami drzew pojawiła się maszyna porucznika.

- Jest sam? - zapytał z niedowierzaniem Bohen. A gdzie reszta eskadry?

*

-Taki cyna barów mlecznych - powiedział Han wzbudzając ogólna wesołość. Powiódł wesołym, choć zamglonym, wzrokiem po twarzach zgromadzonych wokół rebeliantów, pociągnął łyk alkoblielu i kontynuował: - Zero klaty, w dupie szerszy niż w barach, ale oczywiście wąs jak u kowala. Taki charakterystyczny typ, fryzurka prosto od fryzjera, na lakier. Czarne włosy, z tyłu w kancik. Frajer jeden w tanich džinsach i takiej miękkiej koszuli, ale nie jedwabnej, jakiś syntetyk. W tylnej kieszeni oczywiście grzebień a na nogach rozczłapane adidas, chyba tej po starszym bracie albo z kibla wyjęte. No i zgrywa cynę, energiczne ruchy a przy każdym ruchu wieje od niego smrodem najtańszych papierosów i wczorajszej nie strawionej wódki. Taki typowy pijacki zapach gówna i potu.

"Ej majster" - mówi - "Masz papierosy majster?"

Patrzę na niego i nic nie odpowiadam. Myślę sobie, że niech spieprza albo będzie zadyma. A on:

"Majster, kumasz czaczę? Stykasz? Papierosa chcę, majster"

- I co, i co? - Zapytała Iwona, dziewczyna Wedge'a Antillesa ze służby radarowej. Mówiąc to klaskała w dłonie i podskakiwała jak niecierpliwe dziecko. Wedge rzucił jej niezadowolone spojrzenie a Leia zaciskając zęby pokręciła z dezaprobatą głową.

Bohaterowie rebelii siedzieli przy drewnianym stoliku na środku polany, gdzie odbywała się feta z okazji zwycięstwa nad imperium. Wszyscy dość mocno podchmieleni biesiadnicy bawili się już kilka godzin pośród wesołej muzyki płynącej z unoszących się nad koronami drzew na antygravitacyjnych platformach głośników. Niektórzy tańczyli, inni podzieliwszy się na mniej lub bardziej liczne grupy prowadzili wesołe dysputy a ci najmniej odporni na wysokie procenty ewoczych napojów drzemali wśród krzewów bądź bezmyślnie sycili oczy pięknem endorskiej przyrody. Wokół Hana, Lei i Luka zgromadziła się grupka około 10 osób, które nic nie mówiąc chłoneły po prostu słowa swych idoli. Han brylował. Prężył się, prezentował mięśnie, szczerze rozdawał uśmiechy i dzielił blielem!

Radośnie kontynuował opowieść:

- Wyjąłem blaster i sru mu prosto w bebechy. Chyba ze trzy metry przeleciał do tyłu. Przy stoliku obok siedziały jakieś pedały z kolczykami, to tak spieprzały że mało nie wyskoczyli z papci.

- A barman co? - zapytał Luke Skywalker.

- A barman nic. Zaraz wyszedłem, a po drodze rzuciłem mu dwa kredyty. Mogłem jeszcze powiedzieć, że to za zamieszanie ale ten świetny tekst wymyśliłem później. Zresztą użyłem go parę razy w innych knajpach bo lubię sobie czasem walnąć komuś we flaki. To znaczy lubiłem bo teraz to ja jestem wielka fisza z rebelii - odłożył butelkę po czym położył sobie obie ręce na pasie, wypiął brzuch niby jakiś hrabia i ruszył godnie przed siebie parodiując sposób poruszania się imperialnych wielmożów. - Teraz ja wielki pan! Świecę przykładem, jestem demokratą i szlachetnym człowiekiem.

To mówiąc czknął i roześmiał się głośno i gwałtownie jak jakiś rozwydrzeniec z planety Upa-tau. Gromada rebeliantów wzniosła puchary i butelki.

- Za generała Solo!

- Niech żyje!

- Niech żyje!

- Za wspaniałych mężczyzn! - zawołała Iwona, zaś Wedge i Leia powtórzyli sztuczkę z niezadowolonym spojrzeniem, zaciskaniem zębów i kręceniem głową.

Solo duszkiem opróżnił swoją butelkę, rzucił ją w krzaki i przeciągle beknął.

- Ej, Luke - zawołał. - Luke! Szkoda że nie pracowałeś na kolei jako bagażowy.

- O co chodzi? Jaki znowu bagażowy? - Luke sięgnął mocą do umysłu Hana aby odnaleźć znaczenie słowa "kolej". Udało się.

- Można by wtedy mówić na ciebie Luke bagażowy... Rozumiesz? Tak jak luk bagażowy w statkach pasażerskich. - Eksplozja śmiechu Solo niosła w sobie tyle energii, że starczyłoby jej do oświetlenia całego miasta w chmurach i jeszcze ze trzech domków campingowych gdzieś na wybrzeżu .

- Cudowne - powiedziała Iwona.

- Do diabła - wycedził przez zaciśnięte zęby Wedge chwytając dziewczynę za ramię i ściskając mięsień trójgłowy nieco mocniej niż wypadało. Uniósł jej ramię nieco w górę sprawiając, że musiała się odwrócić i ruszyć w stronę w którą ją skierował. - Dość tego, idziemy.

- Zaraz, zaraz koleś! - zawołał Han wstając. - Dokąd to? Masz coś do mnie?

Wedge zatrzymał się i odwrócił w stronę Hana. Solo tymczasem wyrwał z ręki stojącego najbliżej rebelianta butelkę mocnej ewoczej wódki i pochwycił stojącą na jednym z leśnych stolików szklanę.

- Masz coś do mnie? - powtórzył.

- Nie, do Ciebie nic nie mam - powiedział zdenerwowany Wedge.

- W takim razie napijesz się ze mną wódki! - wykrzyknął Solo podając Antillesowi szklanę, którą ten niechętnie przyjął. - Tankujemy.

Generał napełnił szklanę endorówką , a sam wzniosł w toaście wypełnioną w połowie butelkę.

- Do dna.

Wedge wypił małego łyka, uśmiechnął się grzecznościowo po czym odstawił naczynie i najwyraźniej zamierzał odejść bo znów chwycił Iwonę za ramię.

- Zaraz, zaraz, co jest? - Solo chwycił go za koszulę i zionąc pijackim oddechem prosto w twarz, zapytał:

- Gardzisz mną?

Groźba brzmiąca w jego głosie była zakamuflowana mniej więcej tak skutecznie jak łajno tauntauna na śniegu.

- No co ty? - Wedge poczuł, że tężeją mu mięśnie pośladków. Zrozumiał, że w każdej chwili mogą pojawić się kłopoty z pęcherzem. Zawsze reagował tak w chwilach zagrożenia. Nawet...zwłaszcza podczas walk w kosmosie. To dlatego uciekł z pola bitwy nad Yawinem mimo że jego x-wing został tylko delikatnie draśnięty. Był tchórzem!

- No dalej! Chlejj!

Wedge pochwycił szklaneczkę i z udawanym entuzjazmem wychylił zawartość do dna. Chwilę walczył z nudnościami i wreszcie zwymiotował.

Han Solo roześmiał się wesoło, rozładowując panujące wśród przyglądających się scenie biesiadników napięcie.

- Mężczyzna... - szepnęła Iwona, zabarwiając ton głosu zjadliwym sarkazmem.

- Mężczyzna, jak z dewbaczej dupy trąba! - zawołał Solo.

Zirytowana do cna Leia, wykonała obrót przez lewe ramię i odeszła w kierunku jednej z ewoczych chat, Luke zaś zauważył w tłumie tańczących istot Landa, więc poszedł z nim porozmawiać.

- Słuchaj Iwona - powiedział Solo pijackim głosem. - Iwona, słuchaj mnie!

Uniósł palec wskazujący i chwilę wyglądał jakby chciał nim pogrozić, jednak nie zrobił tego.

- Iwona! Idę w krzaki! Idę w krzaki za potrzebą, Iwona! Pamiętaj! Ale jak wrócę, masz na mnie czekać! Zrozumiano?

- Tak jest! - krzyknęła dziewczyna salutując, a Solo, zataczając się ruszył w kierunku zarośli.

*

Ewok Wombat leżał pod olbrzymim liściem galaxi-łopuchu i drżał z przerażenia. Spojrzał na łańcuch kajdanów łączący przegub jego ręki z chudym przedramieniem yuzzuma. "Niab niab" - myślał, a znaczyło to: "Dlaczego uciekałem w stronę swojej wioski? Co ja narobiłem? Należało pognać w stronę klifu Yawari albo zaciągnąć ich w samo serce pustyni Salmo..."

Ewok wiedział, że przypląciłby to życiem, ale doszedł do wniosku, że to jedyny sposób w jaki można było zażegnać niebezpieczeństwo grożące współplemięcom. Niestety ponieważ. Skąd mógł jednak wiedzieć, że istoty wychodzące z grobów będą wrogo nastawione? W pierwszej chwili bardzo się ucieszył, sądząc, że oto spełniła się przepowiednia o walecznych ewokach, które bogini Saint-Teek miała nagradzać wiecznym życiem. Kiedy jednak zobaczył ich zaciągnięte bielmem martwe oczy oraz nie zagojone, gnijące, pełne pełzających robaków rany, zrozumiał, że o nagrodzie na ma mowy. Gnał co sił w nogach aby ostrzec mieszkańców wioski, a bezmyślne nieme potwory wolno, lecz systematycznie posuwały się jego tropem.

Kiedy dotarł na miejsce zlekceważono jego ostrzeżenie i zamknięto go w "wigwamie obłąkanych" po czym skuto kajdanami wraz z innym pacjentem - yuzzumem i kazano czekać na badanie. Wombat wiedział z leśnej szkoły, że yuzzumy to istoty o okrągłych porośniętych futrem ciałach, długich cienkich nogach i szerokich otworach gębowych. Są podobno inteligentne choć zachowują się po barbarzyńsku. W podręczniku obrazkowym zwrócono także uwagę na fakt, że to naturalni wrogowie ewoków. Wombat nie wiedział dlaczego. Nie znał przyczyn dla których obie rasy zwalczały się wzajemnie...

Więźniowie nie doczekali nawet wizyty szamana - psychoterapeuty bo już po paru chwilach rozpoczęła się rzeź. Wombat patrzył z przerażeniem na żywe trupy ewoków wdzierające się do wioski, na beznadziejną walkę i śmierć najlepszych wojowników. Niektórzy zostali pożarci żywcem, inni tylko pokąsani. Atakujące bestie nie bały się niczego. Groty strzał, kamienie ewoczych proc nie robiły na nich żadnego wrażenia.

Yuzum okazał się dobrym kompanem. To on zainicjował wspólną ucieczkę. Wiele godzin biegli przez knieje coraz mniejszą wagę przykładając do dzielących ich różnic. W krótkich chwilach wypoczynku, tak przecież potrzebnych dla regeneracji organizmu próbowali ze sobą rozmawiać. Początkowa wrogość wynikająca z braku zrozumienia kultury partnera, a także zrodzona z atawistycznego strachu przed naturalnym, odwiecznym wrogiem z biegiem czasu zmieniła się co najmniej we wzajemny szacunek, jeśli nie przyjaźń. Wombat zauważył, że yuzzum, poczytany początkowo za bezmyślnego barbarzyńcę znakomicie radzi sobie w sytuacjach stresowych, błyskawicznie planując skuteczne posunięcia i ruchy. Podziwiał też kunszt z jakim istota posługiwała się prostymi narzędziami takimi jak kamień, dzida czy tabliczka ouija. Yuzzum zaś podziwiał ewoka za jego zrozumienie lasu oraz wiarę, że drzewa to inteligentne długowieczne istoty a także za to, że potrafił zabawnie przechylać główkę i ruszać językiem.

Teraz, kiedy obaj leżeli pod liściem galaxi - łopuchu czuli, że łączy ich coś więcej niż wspólna niedola. W ciągu kilku godzin zaskarbili wzajemnie swoje zaufanie, poznali swoje atuty i wady. Nauczyli się je tolerować. Zostali przyjaciółmi zapalając oliwną lampkę nadziei na pokój między dwoma zwaśnionymi narodami!

- Słuchaj - powiedział yuzzum w języku ewoków - Musimy coś z tym zrobić. Nie możemy tak po prostu cały czas uciekać, bo w końcu i tak obiegniemy Endor dookoła i wrócimy do tej twojej cholerniej wioski, gdzie nas dopadną.

Wombat uśmiechnął się. Rozbawiła go naiwność yuzzumów, których najwyraźniej nie uczono, że Endor to płaski krążek wspierający się na barkach olbrzymich Ewoków -

Gospodarzy Świata. Jakże można obieć go dookoła, przecież nie da się biegać do góry nogami. Ale że trzeba działać - tu yuzzum miał rację.

- Działajmy - powiedział ewok.

- Słuchaj - szeptał yuzzum. - Jesteśmy gdzieś w okolicy Polany Siedmiu Najemników, jeżeli ruszymy na północ powinniśmy dojść do sawanny Dragon's Pelt.

- Ale tam po drodze, czają się goraxy. Gdzieś tam jest ich matecznik... te straszliwe olbrzymy, tylko czekają aby nas rozgnieść!

- Właśnie o to chodzi. Poczekamy tutaj na te wszystkie trupy, a później zwabimy je w pułapkę. Pójdą za nami do matecznika goraksów i zostaną rozdeptane!

Ewokowi nie bardzo spodobał się ten plan, ale nie potrafił wymyślić lepszego. Zwłaszcza, że jego myśli rozproszyła dochodząca gdzieś sponad wierzchołków drzew muzyka. Gdyby Wombat nie wagarował podczas lekcji muzyki ze starym Flutem Warrickiem, wiedziałby że to nic innego niż marsz imperialny.

- Co to? - zapytał.

- To statek kosmiczny. Ląduje tam, za drzewami. - odpowiedział yuzzum. - Mam pomysł. Biegnijmy tam. Ludzie żyją teraz z wami w doskonałej komitywie. Poprosisz ich, żeby nas rozkuli, będzie nam łatwiej zrealizować plan. Może też pożyczą nam jakąś broń, albo w ogóle pomogą wciągnąć trupy w pułapkę.

- Yuuupi! - zawołał Wombat, po czym wstał, chwycił yuzzuma za rękę i obaj przyjaciele wspólnie pomknęli w stronę świetlanej przyszłości.

*

Grand moff Bohem musiał przystanąć by zaczerpnąć tchu. Biegł zbyt długo. Oparł się o drzewo, pochylił i zwymiotował.

- Jeszcze kawaleczek - powiedział ocierając usta rękawem.

Począł aż nieco zelży pulsowanie w skroniach i ponownie ruszył przed siebie. Pulsowanie pojawiło się ponownie więc znów je zelżył, używając wszelkich znanych przekleństw i wulgaryzmów. Pomogło. Mógł znowu biec.

Widział już wyraźnie potężną sylwetkę bombowca, słyszał nawet syczenie wydobywającej się z zaworów bezpieczeństwa pary.

Sięgnął do kabury i wydobyl z niej blaster. Nigdy nie wiadomo kogo jeszcze zwabiły odgłosy lądowania.

Syczenie pary wzmogło się, a po chwili opadła niewielka rampa po której ostrożnie schodził Duvall.

- Halo! Poruczniku Duvall! - zawołał Bohem po czym wspiął się na palce machając blasterem. Nie został jednak zauważony więc z rezygnacją ruszył przed siebie.

- Dalej stary - powiedział - Jeszcze jakieś sto metrów i jesteśmy w domu.

Wtem coś przykuło jego uwagę. Jakiś nieznaczny ruch, za jednym z krzaków, nieopodal miejsca w którym wylądował porucznik.

- Hej! Kill'Gore! - krzyknął głośniej, ale porucznik, który pozostawał jeszcze w hełmie nie mógł go usłyszeć zwłaszcza, że zaczynał się już jazgot nocnych stworzeń, które właśnie budziły się ze snu. Słońce zaszło już za horyzont i choć nie było jeszcze całkiem ciemno widoczność znacznie się pogorszyła. Okolicę statku rozświetlała jednak łuna pochodząca z lampek pozycyjnych umieszczonych na skrzydłach maszyny więc Bohem nie miał problemu z dostrzeżeniem kędzierzawych istot, które wynurzyły się z zarośli.

- Kill' Gore do cholery! Uważaj!

Pilot prawdopodobnie coś usłyszał bo spojrzał w jego kierunku i zaczął zdejmować hełm.

- Neeeeeee! - wrzasnął Bohem

Tymczasem dwie kudłate istoty wyskoczyły z krzaków i pędem ruszyły w stronę nic nie podejrzewającego Duvalla.

- Za tobą! Kill'Gore! Za tobą!

Pilot rozpoznał moffa bo uśmiechnął się i przyjacielsko pomachał dłonią. Słyszał już nawet jego głos jednak nie mógł jeszcze odróżnić poszczególnych słów.

- Jasna cholera - wyszczał Bohem i złożył się do strzału. Duvall najwyraźniej zdębiał ale dzięki latom wojskowego szkolenia stan ten nie trwał dłużej niż ułamek sekundy.

Błyskawicznie dobył swej broni i wycelował w wielkiego moffa.

Ten tymczasem strzelił kładąc trupem jedną z biegnących postaci. Dziwnym trafem druga również zatrzymała się gwałtownie, jakby niewidzialna siła zatrzymała ją przy martwym kompanie.

- Nieźle strzelam - powiedział głośno i już miał zamiar wręczyć sobie dyplom uznania gdy poczuł pulsujący ból ramienia. Padł na murawę i gorączkowo analizował fakty. Co się stało? Zrozumiał, że pilot poczytał jego akcję jako atak na siebie i odpowiedział ogniem...

- Co za idiota - wyszczał wijąc się z bólu wśród leśnego runa. Wtem dostrzegł dorodną malinę i spróbował dosięgnąć jej ustami. Nie udało się. Wysunął język i akurat w chwili gdy sięgnął owocu podbiegł do niego porucznik. Mierzył w jego głowę z ogromnego Blas Techa 331.

- Oszalałeś? - krzyknął Bohem.

- To ty chyba oszalałeś - odpalił Duvall wysyłając kopniakiem broń moffa w zarośla.

- Ocaliłem ci życie idioto. Strzelałem do ewoków za twoimi plecami.

- O! W takim razie przepraszam. - powiedział pilot i nie spuszczać Bohem'a z muszki obrócił się szybko. W wysokiej trawie majaczył zarys sylwetki martwego ewoka. Obok klęczał załamany yuzzum.

Duvall opuścił broń, pomajstrował przy pasku i po czym spojrzał na wydobyty z zasobnika pakiet.

- Łap, to pakiet osobisty.

Zapalił papierosa i poczekał aż Bohem opatrzy ranę.

- Cholera. Boli. Nieźle dostałem w kość. I to wcale nie przenośnia.

- Spokojnie. Bacta czyni cuda. Chodźmy lepiej zobaczyć co to za jedni.

Kiedy mężczyźni obrócili głowy w kierunku polany, nie pozostało im nic innego niż zdębieć. W miejscu gdzie jeszcze przed chwilą klęczał yuzzum roilo się całe stado ewoków. Klębiły się, tworzyły jakąś niesamowitą piramidę, przypominającą bardziej ruchomy kopiec wijących się, kosmatych ciał.

- Co one tam robią Kill' Gore?

Porucznik przyłożył do oczu elektrolornetkę, chwilę pomanipulował przy potencjometrze i pobrał.

- Na Boga, one....

- No co one? Gadaj!

- One zjadają jakiegoś yuzzuma!

- Pokaż!

Wielki moff wyrwał lornetkę z rąk pilota.

- Ależ one potwornie wyglądają... Te futra, całe lepią się od jakiejś mazi.

- To chyba krew...

- A te ich oczy!

Bohem powoli opuścił lornetkę. Odwrócił wzrok w stronę Duvalla i podskoczył w niemym przerażeniu bowiem w tej samej chwili na ramiona pilota wskoczył martwy ewok!

*

Lando wydobyl z kieszeni nadgryzioną kostkę cukru i przyjrzał jej się uważnie. Dmuchał na nią aby usunąć drobinki piasku i i krótki, zakręcony włoszek.. Umieścił kostkę między zębami i chwilę pił gorącą wodę, przesączając ją przez cukier, tak jak zwykli to robić chłopcy na Tatooine.

- Hmmmm, cudownie! - powiedział kiedy cukier rozpuścił się całkowicie. - Nawet nie macie pojęcia jak to wzmacnia.

Słowa swe kierował do dwóch towarzyszek siedzących wraz z nim na olbrzymim pniu. Nie były urodziwe, Han Solo żartował nawet nieco wcześniej, że jedną z nich można by omyłkowo osiodłać zaś na drugą zapolować harpunem, jednak Lando tego nie zauważał ponieważ obie były białe, a dla Carlisiana wszyscy biali wyglądają tak samo.

- Patrzcie tego - powiedział wskazując niewielkim ruchem głowy stojącego nieopodal Luke'a Skywalker'a. - To jakiś dziwny koleś. Ciągłe widzę go, jak gada sam do siebie.

Faktycznie, Luke poruszał ustami najwyraźniej coś mówiąc. Czasami przerywał i przybierał wyraz twarzy jakby uważnie słuchał mądrych słów.

Lando roześmiał się.

- Kiedy byłem mały, zachowywałem się podobnie. Miałem swojego przyjaciela na niby, który wszędzie ze mną chodził. Fachowo nazywa się to "imaginary friend", albo "Bogus mój przyjaciel na niby". Ale do licha, przeszło mi kiedy poszedłem do szkoły!

- Może on nie chodził do szkoły - powiedziała jedna z dziewczyn, gdy tymczasem Lando skinął na Luke'a.

- O co chodzi? - zapytał Skywalker.

- Z kim ty tam rozmawiasz, mały?

- Nie jestem mały. - Odpowiedział Luke po czym odwrócił głowę, jakby słuchał komentarza jakiejś osoby stojącej obok, a następnie parsknął śmiechem.

- O co chodzi? - spytał Lando.

- Nie ważne. I tak nie jesteś w stanie tego pojąć.

- No cóż. To niezbyt grzecznie rozmawiać po cichu w towarzystwie. Może twój wyimaginowany przyjaciel przyłączy się do nas? - Burknął Lando sycąc swą wypowiedź sarkazmem. Jakież było jego zdziwienie, kiedy Luke odrzekł nie okazując urazy:

- Tych, jak to nazywasz wyimaginowanych przyjaciół jest trzech. Jeżeli chcesz z nimi porozmawiać to proszę bardzo. Jeden z nich nazywa się Yoda. Kiedy będę przekazywał jego słowa poruszę palcem wskazującym prawej ręki, żebyś wiedział że to on. Drugi to Ben. Mówiąc w jego imieniu będę poruszał palcem wskazującym ręki lewej. Trzeci uczestnik spotkania pragnie pozostać anonimowy, ale kiedy będzie chciał się odezwać, pokażę ci środkowy palec prawej dłoni.

- No dobrze - Lando roześmiał się pokazując piękny garnitur białych niby perły ostrygi Yorin, zębów. - Miło mi was poznać chłopaki.

Luke poruszył palcem wskazującym prawej ręki. Zrobił to w taki sposób jakby miał na nim miniaturową pacynkę. Jego głos zmienił się nieco, obniżył odrobinę ton a jednocześnie symulował chrypkę.

- Lando, poznać miło Cię mi jest! Na dziewczyny owe uważaj bowiem posag one złowić twój pragną!

Dziewczyny roześmiały się nieszczerze a Lando ponownie pokazał uzębienie.

- Dobrze! Podoba mi się twoje poczucie humoru mały.

- Mówiłem, że nie jestem mały. - powiedział Luke normalnym głosem, po czym znów poruszył palcem, i obniżył głos. - W majtkach coś małego nosisz ty.

Lando zaniemówił, nie wiedząc czy należy roześmiać się czy obruszyć. Postanowił odgryźć się jakąś ciętą ripostą ale nie zdążył nic wymyślić bo oto Luke poruszył dla odmiany palcem lewej dłoni i powiedział spokojnym tonem mędrca.

- To czy coś jest duże czy małe, zależy od punktu widzenia. Powiedz mi Lando. Dlaczego te wspaniałe kobiety nie wyszły dotąd za mąż?

- Nie wiem. Może to je należałoby zapytać.

- A zatem - ciągnął Luke obcym głosem, nie przerywając ruchu palca. - Dlaczego drogie panie nie wyszłyście za mąż?

- Pragniemy zachować niezależność. Nie wiązałyśmy się z nikim z prostej przyczyny. Obie bałyśmy się toksycznych związków!

- To czego się najadłyście znaczenia nie ma! - krzyknął Luke zmieniając barwę głosu i palec.

- Co? - zapytał znowu Luke normalnie, a za chwilę również tonem mędrca, poruszając drugim palcem. Nawet Lando nie rozumiał do końca o co chodziło palcowi.

- Obie bałyśmy się toksycznych związków - powtórzyły dziewczyny zgodnym chórem lecz nikt już ich nie słuchał bo oto twarz Luke'a stężała jak odstawiony na godzinę do lodówki kisiel, lub umguliańska galaretka kiedy zalać ją roztworem Feyl' sok!

Budząc powszechne zaniepokojenie wywrócił na wierzch białka oczu, po czym wyciągnął przed siebie uwieńczone zaciśniętymi pięściami ramiona i wreszcie drząc na całym ciele, jakby z ogromnym wysiłkiem wyprostował jeden ze środkowych palców, kierując go ku górze. Równocześnie rozpoczął powolny marsz w stronę zrosli bez końca powtarzając obcym, dudniącym niby grzmot lub dochodzące z automatycznej pralki echo głosem słowo IBMOZ!

- IBMOOOOOZ! IBMOOOOOZZZZ - powtarzał w dziwnym transie a obecnym na polanie rebeliantom odechciało się zabawy. Widok był tak niezwykle, że nawet wesołe Ewoki pospadały z drzew i dziarsko tańcząc wycofywały się w kierunku swoich sadyb.

- Ibmoz? Ibmoz? Co to znaczy "ibmoz"? - dziwiła się jedna z dziewczyn.

- Nie wiem - odpowiedział Lando! - Widzicie? Jestem znaczącą figurą sojuszu rebeliantów a jednak nie udaję kogoś kim nie jestem! Jeżeli nie posiadam wiedzy na jakiś temat to nie udaję, że tak nie jest tylko po prostu przyznaję się do niewiedzy! A zatem w tym przypadku mówię, że nie wiem. Na co dzień też taki jestem. Jeżeli popełnię jakiś błąd, również potrafię się do tego przyznać! Gdy kogoś zranię używam magicznego słowa "przepraszam". Kiedy ktoś wyświadczy mi przysługę, mówię "dziękuję"! Te słowa sprawiają, że życie staje się lepsze! Oczywiście kiedy wchodzę do jakiegoś pomieszczenia, natychmiast, jako pierwszy mówię "dzień dobry" - choć rękę wyciągam jedynie w kierunku mężczyzn. Naturalnie pod warunkiem, że są niżsi stopniem lub piastują mniej odpowiedzialne stanowisko. Jeżeli ktoś z nich stoi wyżej w hierarchii to oczywiście czekam aż on pierwszy wyciągnie dłoń.

- Tak? - zapytała jedna z kobiet, po czym oparła głowę o powierzchnię służącego za stół pnia, pozuła chwilę coś co okazało się gumą balonową i na koniec zrobiła wielki balon. Kiedy pękł powiedziała bezgłośnie "ibmoz". Jej przyjaciółka wyjęła z torebki lusterko i przyłożyła je do ust koleżanki. W zwierciadle odczytała słowo "zombi".

- O psia krew! - powiedział Lando.

I tym właśnie momencie rozpełtało się piekło, bo oto z zarośli wyskoczył Han Solo. Gnał przed siebie jak wichur. Pędził co sił w nogach aż zabrakło mu tchu!

- Aaaaaaa! - wrzeszczał nie wiedząc że krzyczy, bowiem przerażenie odebrało mu rozum. Wiatr rozwiewał połę jego maskującego płaszcza a delikatne gałązki młodych drzew smagały jego przystojną twarz.

- Kryjcie się, kryjcie się - krzyczał machając rękami by dać wszystkim do zrozumienia, że mówi poważnie.

Przerażonym rebeliantom, którzy odwrócili w jego stronę wzrok ukazało się koszmarnie widowisko. Spodnie generała były brunatne od krwi zaś jego twarz biała jak papier. Zarośla tymczasem poruszyły się i oto wychynęły z nich dziesiątki martwych ewoków, yuzzumów i straszliwie okaleczonych w porannej walce szturmowców. Gdzieś tam można było dostrzec także poległych wcześniej rebelianckich skautów a w oddali nawet czołgającą się kupkę popiołu, która taszczyła nadtopiony hełm Lorda Vadera.

*

Leia stała przy lustrze i wpatrując się w odbicie swej twarzy powtarzała swoją codzienną, zaleconą przez psychoterapeutę mantrę.

- Lubię siebie. Jestem ładna i mądra. Lubię siebie i zasługuję aby i inni mnie lubili. Jestem ładna. Moje uszy są ładne, akceptuję siebie taką jaką jestem. I inni również mnie akceptują bo widzą mnie taką jaką ja sama siebie widzę. Nikt nie ma prawa mnie oceniać, jestem sobą... Przerwała ponieważ dochodzący z zewnątrz hałas stał się nie do zniesienia.

- Co oni tam wyprawiają? Po to właśnie skryłam się w ewoczej chatce żeby mieć odrobinę spokoju, ale oczywiście nie, bo trzeba drzeć się na cały głos. Jakby nie można było uczyć zwycięstwa lampką szampana czy nawet kieliszeczką wódki ale za to z kulturą!

- Znam sześć milionów form porozumiewania się - powiedział niespodziewanie stojący w kącie Threepio a lico Lei zalał paś. Wcześniej nie zwróciła uwagi na jego obecność a teraz świadomość, że słyszał jej mantrę sprawiła, że poczuła się niezręcznie.

- Pipi ripi wzioooooooooo łiiiiiiijjjjjiiiił piuuuuuu! - zakwilił R2D2. Threepio który doskonale wiedział, że robot w swoim binarnym języku powtarza słowa księżniczki, miał ochotę się uśmiechnąć, jednak wiedział że nie potrafi tego zrobić.

- Uspokójcie się, bo ześlę was do kopalni na Kessel albo rozbiore na części. Zamiast tak się kryć po kątach należało się przywitać, kiedy tylko tu weszłam.

Nagle, jakby pod wpływem słów księżniczki poruszyło się futro, które początkowo poczytała za leżącą na łóżku narzutę. Jednak nie była to narzuta. Narzuty nie wrywają ludziom ramion, gdy przegrywają. Na szczęście w tej chwili nikt w nic nie grał, więc Chewbacca po prostu stanął na baczność i uśmiechnął się zawadiacko - dokładnie tak jak nauczył go Han Solo - i w narzeczu wookiech powiedział "dzień dobry".

- Zrozumiałem to, zrozumiałem! - zawołał radośnie Threepio.

- No to pięknie. - powiedziała z rezygnacją Leia. - Jeszcze ktoś się tu ukrywa? No proszę? Może zaraz spod łóżka wyskoczy admirał Ackbar? No czekam!

Nie wyskoczył. Tymczasem wrzawa na zewnątrz wciąż narastała. Pijackie śpiewy i wesołe pogawędki dawno już ustąpiły miejsca zawodzeniu i wyciu ale na to co działo się w tej chwili Leia nie potrafiła znaleźć określenia.

- Czy ich tam żywcem obdzierają ze skóry czy co?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie z hukiem otworzyły się drzwi i stanął w nich straszliwy Sulussianin. Wyglądał mniej więcej tak, jakby przez ostatnie 20 minut jakaś grupa rozwydrzonych wyrostków rzucała w niego stadionowymi krzeselkami.

- Nien? Nien Numb? To ty Niennie Numbie? Co się stało?

Postać ruszyła wolno w kierunku księżniczki sprawiając że Threepio powiedział w basicu "Oh my goodness!"

- Niennie Numbie! Co się stało?

Sulussianin nie odpowiedział. Otworzył wielkie usta z których połała się ciemnozielona maź.

- Jeżeli mogę zauważyć, pani Leio, to oczy tego Sulussianina wydają się martwe - powiedział Threepio.

- Ale jak to? - zdziwiła się księżniczka.

Tymczasem Nien Numb podszedł do kobiety i chwycił ją za szyję. Przerazona księżniczka złapała go za nadgarstki i gwałtownie szarpnęła. Nie napotkała oporu. Rozległ się oblesny, "mokry" dźwięk.

- O rety! Przecież ona wyrwała jego ramiona! - krzyknął C3PO. Chewbacca z uznaniem pokiwał kosmatą głową.

Mimo odniesionych obrażeń Numb wciąż nacierał na księżniczkę aż do momentu, kiedy zniecierpliwiony Chewbacca pozbawił go pozostałych odnóży. Korpus Sulussianina nie

przestał jednak poruszać się i tryskając płynami ustrojowymi pełzł przed siebie, niezależnie od tego w którą stronę Chewbacca go skierował.

- Przestań się bawić Chewie, musimy tu posprzątać. Co tam się dzieje na dworze?

Wookie podszedł do drzwi aby to sprawdzić i w tym momencie pochwytył go dziesiątki ewoczych ramion. Mocarz zdążył jedynie żałośnie krzyknąć i zniknął w kłębiącym się przed chatką tłumie.

- Co się dzieje? Ja pytam co się dzieje! - Leia zrozumiała, że wpada w panikę. Mimo to zdołała zamknąć drzwi i zabarykadować je jakimś rodzajem ewoczej szafki na buty.

- Obawiam się, że ktoś wszedł przez okno - zakomunikował C3PO i w tym samym momencie Leia została przyduszona do podłogi olbrzymim cielskiem przyobleczonego w strój rebelianckiego pilota.

- To okropne - mówił zaaferowany Thereepio. - Ten pilot wydaje się martwy! Artoo zrób coś! O! Widzę że razisz go prądem. O rety! To nic nie daje! On w ogóle nie reaguje. Ależ Artoo! To nieeleganckie dlaczego tniesz go piłą tarczową? Co ja z tobą mam! Przecież jego czarna krew tryska wprost na twarz księżniczki. Jesteś źle wychowany. Ach. Nie warto z tobą w ogóle rozmawiać. Zamknij się ty kosmiczny Flapie! Albo Flapie! Właściwie nie wiem bo ci dwaj komicy zawsze mi się mylą! No cóż. Twoje zabiegi nie przynoszą rezultatów. Odciałeś mu dłoń w nadgarstku a ona nadal samodzielnie dusi panią Leię! Chyba nie ma dla niej ratunku. Nie, nie dla dłoni. O rety! Niech mnie kule! Przecież on usiłuje ugryźć Księżniczkę w szyję!

Leia podjęła nadludzki wysiłek aby zrzucić z siebie agresora jednak jej starania nie przyniosły spodziewanych efektów. Nie przyniosły także efektów niespodziewanych. I już wydawało się że sytuacja stała się beznadziejna, gdy nagle głowa rebelianckiego pilota eksplodowała.

- O rety! Artoo! Zobacz! Przez okno wchodzi jakiś imperialista! To on unieszkodliwił agresora strzelając mu w głowę! Okazuje się że wystarczy zniszczyć mózg przeciwnika a ten rezygnuje z ataku!

Artoo bąknął coś w swoim języku a Thereepio odpowiedział:

- Nie, ja nie użyłbym zwrotu "podniecające".

Tymczasem obcy wgramolił się przez okno i pomógł księżniczce zrzucić z siebie zwłoki napastnika.

- Witam, księżniczko. - powiedział.

- Grand moff Bohem! Powinnam domyślić się kto trzyma na smyczy tego żywego trupa. Od razu poczułam twój odór gdy tylko wszedłeś do chatki.

- Czarująca, ale tylko na niby. I do tego niezbyt bystra. Zwróć uwagę, że ocaliłem Ci życie. Nie mam nic wspólnego z tymi cudakami.

- Doprawdy?

- No i co mam ci na to odpowiedzieć?

- Czy doprawdy.

- Tak, tak. Doprawdy. Zaczekaj... - to mówiąc podszedł do okna i pomógł wejść swojemu rannemu kompanowi.

- A twój towarzysz to kto? - zapytała Leia.

Kill' Gore Duvall wyprężył się jak struna, choć najwyraźniej sprawiło mu to ból bo cicho jęknął.

- Porucznik Kill' Gore Duvall dowódca jedenastego samodzielnego skrzydła....

- Darujmy sobie te konwenanse porucznika. Nie ma już żadnego skrzydła. Nie ma już Imperium. Przegraliście.

Oczy porucznika zwężyły się na podobieństwo gundarczych skrzeli.

- Imperium jest wieczne! Przetrwa nas wszystkich. Jedna przegrana bitwa jeszcze nic nie oznacza!

- Mylisz się poruczniku. W tej nic nie znaczącej twoim zdaniem bitwie poległ Imperator. Czymże jest Imperium bez przywódcy?

- Imperium to nie Palpatine! - powiedział Duvall patrząc wyniośle na Leię. - Imperium to nawet nie armia. Imperium to zwykli ludzie. Ty, ja, grand moff Bohen! Nawet twoi przyjaciele z rebelii tak zaciekle kłósały rękę, która ich karmiła. To jest Imperium! My ludzie! Ludzie, którzy potrafili przeciwstawić się korupcji starej republiki! Ludzie, którzy ukróćili rządy klanów bankowych i salonowe intrygi senatorów oraz Jedi. Ludzie, którzy uwolnili się spod jarzma Tydorian i innych ras traktujących nas przed Wojnami Klonów jak niewolników, którymi co tu się oszukiwać, wielu z nas było! To jest Imperium! Miliardy ludzi ceniących proste, uczciwe życie! Nie oszukujmy się. Czy chcesz aby powróciły czasy Gildii handlowych trzęsących całymimi sektorami? Czy chcesz aby w galaktyce znów rozpanoszyły się monarchie? Aby planetami rządziły trzynastoletnie dziewczynki, nie znające życia?

Leia znów zarumieniła się na twarzy. W oczach Duvalla było coś więcej niż typowo męska buta. Widziała tam zdecydowanie i... szczerłość. Było tam coś co sprawiło, że przeszył ją dreszcz.

- Imperium było złe! Zabijało ludzi... - powiedziała bez przekonania.

- Tylko tych, którzy siali zamęt drogie dziecko... Tylko tych, którzy sami dobrowolnie podnieśli rękę na istniejący porządek.

Duvall zachwiał się na nogach. Oparł się o niewielkie ewocze krzesło i przymknął oczy.

- Ależ ty... jesteś ranny.- powiedziała Leia. Podbiegła do oficera i podtrzymała go. Porucznik ujął jej dłonie.

- Cała drżysz - powiedział.

- Bzdura. Jesteś ranny...

- Ranny - podchwycił pilot - Podobam ci się bo jestem ranny.

- Wolę sprawnych - szepnęła Leia nie cofając ust przed pocałunkiem imperialnego żołnierza.

- Jestem sprawny...

I kiedy już wydawało się, że ich wargi spotkają się w namiętym pocałunku z odsieczą przyszedł Luke Skywalker. Jednym susem wskoczył przez okno i powiedział:

- Odczep się od mojej siostry człowieku, albo będziesz miał ze mną do czynienia!

Konsternacja trwała tylko moment, bowiem po chwili w oknie ukazała się twarz Iwony, dziewczyny Antilessa a wreszcie Han Solo i jakiś rebeliancki pilot. Szybko wciągnięto ich do środka a gdy natarły ewoki, zamknięto okiennice

- Musimy zabarykadować to cholerne okno! - krzyknęli wszyscy chórem, i dzięki porozumieniu ponad podziałami, zrealizowali ten cel.

*

- A zatem powiadasz, że aby unieszkodliwić te bestie wystarczy strzelić w głowę? - zdziwił się Luke Skywalker.

- Tak - odrzekł Bohen. - Zanim tu dotarliśmy sam zlikwidowałem w ten sposób chyba z setkę truposzczaków.

- Truposzczaków? - powtórzyła Leia.

- Przecież jakoś trzeba ich nazwać. Nie można w kółko mówić żywe trupy.

- Zimno mi - wtrącił się Duvall.

Han Solo uśmiechnął się zawadiacko, po czym skłonił się z przesadną elegancją i wyrecytował:

- "Zimno ci? To się rozgrzej

Łupu cupu, bij o boki

Hopsa hopsa, rób podskoki
Rączka, nóżka, prawa lewa
W szybkim ruchu się rozgrzewa!"

- Rozgrzewa? - powtórzyła Leia.

- No tak, rozgrzewa. - powiedział Han. - To taki wiersz. Nauczyłem się go w przedszkolu.

- Brawo, brawo - krzyknęła Iwona, zaś Antilles nie zgromił jej spojrzeniem bowiem nie było go w pomieszczeniu. Nikt nie wiedział gdzie mógł się podziać, ale wszyscy byli pełni złych przeczuć.

- Zimno mi - powtórzył Duvall.

- Zimno? - zdziwiła się Leia.

- On umiera - oświadczył Luke poruszając palcem wskazującym lewej dłoni. - Zawsze, kiedy ranny pilot mówi, że mu zimno to znaczy, że umiera. Zaraz na pewno wyjmie z portfela zdjęcie swojej dziewczyny i zacznie się w nie wpatrywać. Pewnie opowie jakie mają wspólne plany i nagle umrze.

- Hahaha, dobre to i celne spostrzeżenie jest - dodał, poruszając palcem drugiej dłoni.

- Bzdura - powiedział Duvall. - Jesteś więźniem stereotypów chłopcze. A może w portfelu noszę zdjęcie nie dziewczyny, lecz chłopaka gdyż jestem gejem?

- Jak to gejem? Gej we flocie Imperium? - Bohem wykrzywił wargi w obrzydzeniu. - To niemożliwe.

Kill' Gore cicho westchnął a z jego ust wyciekła strużka czarnej krwi.

- To już koniec - powiedział Han, nadając swej wypowiedzi odpowiednio uroczysty ton, stosowny do sytuacji w której ludzka dusza wyrusza na spotkanie z absolutem.

- Koniec? - powtórzyła Leia.

Duvall wyraźnie osłabł i przymknął powieki, ale gdy już wydawało się że jest po wszystkim ponownie otworzył oczy i odezwał się:

- Widziałem rzeczy... w które wy, mali ludzie nie jesteście w stanie uwierzyć... Ataki rakiet w ramieniu Oriona... jasnych jak błysk magnezji... blask elektronów świecących w mroku... oślepiające efekty bramy Tanhausera. Wszystkie te chwile odejdą wraz ze mną, znikną ... jak łzy w deszczu...

- A śmierć Dartha Vadera widziałeś? Ha? - zapytał Luke.

- Albo Jabbe Hutta? - dodał Han.

- A zniszczenie Alderaanu? - spytała księżniczka.

- Nooo.... nie. - odrzekł Duvall.

- To figę widziałeś! - krzyknął Han.

- No ale...

- A w ogóle - wtrąciła się Iwona - To łzy w deszczu wcale nie znikają tylko są nadal tyle, że je gorzej widać.

- Tak jest! - Przymknęli wszyscy zgodnym chórem.

- Zimno mi... - powiedział Duvall.

- Człowieku umieraj wreszcie! - zniecierpliwiał się grand moff Bohem - Latasz sobie za pieniądze podatników, szkolisz się, wielce niby walczysz a tu nagle się okazuje że jesteś gejem! To po co wstępowałeś do armii? Gej w Tie Bomberze. Obłąd, no po prostu obłąd.

- Zimno mi - powiedział Duvall.

- Ale jeżeli jest gejem - zdziwiła się Leia. - to dlaczego chciał mnie pocałować?

- Tego już nigdy się nie dowiemy bo wygląda na to, że właśnie wyzionął ducha! - oświadczyła Iwona.

Faktycznie. Duvall nie żył. Siedział na podłodze wpatrując się niewidzącymi oczami gdzieś w bliżej nieokreślony punkt przestrzeni. Han Solo zdjął swój zakrwawiony płaszcz i nakrył nim ciało pilota. Zgromadzeni w chatce pograżyli się w głębokiej ciszy zakłócanej

jedynie od czasu do czasu jakimś tajemniczym, głuchym pomrukiem dochodzącym spod łóżka na którym wcześniej leżał Chewbacca.

Wreszcie odezwała się Leia.

- Co tam tak warczy pod łóżkiem?

- Może warto tam wrzucić granat? - zażartował Solo i w tym samym momencie spod mebla wyczołgał się admirał Ackbar.

- Dzień dobry - powiedział wciąż jeszcze leżąc na podłodze. - To ja. Dawno nie jadłem i troszeczkę burczy mi w brzuchu.

- Coś podobnego - krzyknęła Leia. - A nie mówiłam? Ja chyba mam moc!

Ackbar stanął przed nią i otrzepał ubranie.

- Przepraszam, że nie wyszedłem od razu gdy pani o mnie wspomniała, ale bałem się że mogłoby to przynieść nie pożądany efekt taniego komizmu.

- Ale co pan tam robił?

- Nie ważne! Jedyne co się liczy, to fakt, że jesteśmy w niebezpieczeństwie i musimy działać! Przejmuję dowodzenie!

- Świetnie, nie lubię czekać - burknął Han Solo.

- Czekać? - zdziwiła się Leia.

- Na co? - zapytał Luke.

- Yyyyyy - odrzekł Solo. - No nie wiem. Tak ogólnie. Na przykład aż ktoś przejmie dowodzenie.

- Rozumiem - stwierdził Ackbar. - Przede wszystkim musimy ustalić co zabiło tego imperialistę. Czy jego rany były ciężkie?

- Niezbyt - odpowiedział grand moff Bohem. - Właściwie tylko jeden martwy ewok ugryzł go w ucho. Poza tym parę siniaków i zadrapań.

- Tego się obawiałem - powiedział Ackbar. - Na mojej planecie istnieje legenda o tak zwanych Zombi! Jeżeli spełnią się moje obawy, to jesteśmy naprawdę w solidnych tarapatkach. Najdrobniejsza ranka może okazać się śmiertelna!

Han Solo zbladł.

- Mnie też ugryzli! - krzyknął w panice.

- Ugryzli? - zdziwiła się Leia.

- Musimy pana poddać kwarantannie, generale - powiedział Ackbar.

- Kwarantannie? - spytała Leia.

- Niech mnie kule - wtrącił Threepio.

- Jestem Robert - przedstawił się rebeliancki pilot, który do tej pory milczał.

- Boję się - oświadczyła Iwona.

- Słyszycie? - zapytał Luke, sprawiając że wszyscy umilkli.

Ponownie zapanowała cisza - wszyscy uważnie nasłuchiwali. Wreszcie odezwał się Han.

- Nic nie słyszę. O co chodzi?

- O nic - odrzekł Luke. - Tak sobie zapytałem.

Zapanowała ogólna wesołość, ponieważ dowcip Skywalker spotkał się ze znakomitym przyjęciem. Niestety nastrój sielanki popsuły zwłoki kapitana Duvalla, które niespodziewanie wstały i urwały głowę Iwonie.

*

- Panie, panie no co pan? - krzyknęła Leia. - Tak się nie robi! Coś pan? Szaleju się napił?

- Uciekajcie, uciekajcie! - Krzyknął Han biegnąc z całych sił przed siebie i ilustrując swoją wypowiedź odpowiednim gestem. Jego ucieczka nie trwała jednak długo, bo już po upływie sekundy z głośnym hukiem zatrzymał się na ścianie, czym wzbudził wielkie rozbawienie Luke'a, który nie bardzo przejął się całą sytuacją gdyż jako Jedi nie czuł się zagrożony.

Tymczasem bohaterki pilot imieniem Robert rzucił się na księżniczkę i zakrył ją własnym ciałem. Leia co prawda zaniepokoił nieco fakt, że pilot energicznie gładzi jej uda i zasypuje twarz gradem pocałunków, jednak uznała, że robi to aby zapewnić jej bezpieczeństwo więc odprężyła się i spokojnie usnęła.

Grand moff Bohen tymczasem dobył podręcznego blastera i strzelił Duvallowi w czoło.

- Koniec - powiedział. Ciężko westchnął, wyprężył się jak struna głosowa i zsalutował.

- Sytuacja opanowana - powiedział do Ackbara.

Robert przestał chronić księżniczkę i ułożywszy się wygodnie na podłodze obok niej, z błogim uśmiechem zapalił papierosa. Leia ogarnęła się naprędce i siadając poprawiła uczesanie.

- Najgorsze jest to - powiedział Ackbar - że mamy tu do czynienia z epidemią. Ta choroba roznosi się! Ten oficer był lekko ukąszony a zmarł i do tego zmartwychwstał! To wyjaśnia liczbę atakujących truposzczaków. To jest lawina!

- Mam plan - powiedział Han.

- Jaki? - zapytał Ackbar.

- Nie wiem! - odrzekł przemytnik gorączkowo poszukując chusteczki, którą otarł spocone czoło. - Nie... nie... nie. Ja nie pamiętam. Chyba to uderzenie o ścianę musiało mi zaszkodzić.

- A jeżeli on jest zakażony? - wtrącił się Bohen wskazując ruchem głowy skonsternowanego Hana. - Przecież mówił, że jego też ugryźli! Jeżeli jest zakażony to może wcale nie uderzenie mu zaszkodziło tylko jest zatruty serum nieśmiertelności?

- Chyba serem! - zawołał wesoło Robert, po czym wstał i uśmiechnął się sympatycznie.

- Nie serem, tylko serum. - odparował Bohen. - To taka substancja, którą się zażywa. W naszym laboratorium prowadzi... albo nie. Właściwie to nic nie mówiłem!

- Jak to, nic nie mówiłem? - spytała Leia. - Co "W naszym laboratorium"? Ty coś wiesz!

- Nic nie wiem - powiedział wielki moff cofając się odruchowo krok do tyłu, czym wysłał Lei sygnał o swej nieszczerości. - Tak mi się wyrwało. Po prostu w naszym laboratorium mieliśmy serum prawdy na przykład. Albo jakieś tam inne serum. Zresztą mieliśmy też chociażby Tusipect - taki syrop na kaszel. Jak to w laboratorium! Menzurki, pipety a nawet retortę i kolby. Po prostu martwię się, że tego wszystkiego już nie ma.

- Gadaj, co to za serum! Co spowodowało ten wysyp żywych trupów? Bo rozwalę ci łeb! -

Ryknął Solo przykładając do głowy Bohena lufę miotacza energii.

- Zrozum wielki moffie - wtrąciła Leia wnosząc do rozmowy odrobinę spokoju i rozsądku -

Jeżeli powiesz nam co spowodowało tę tragedię być może uda nam się opracować antidotum i przerwać tę spiralę przemocy!

- Dobrze, w takim razie... - zaczął Bohen, ale niestety nie dokończył ponieważ Han nie zdołał opanować nagłego skurczu prawej dłoni i dociskając wbrew swej woli cyngiel, strzelił mu w głowę.

- Ty idioto - wrzasnął Robert usiłując zabrać Hanowi broń, ale odepchnięty przez przemytnika upadł tak nieszczęśliwie, że jakaś nieznana siła przerzuciła go na Ziemię gdzie zginął potrącony przez tramwaj.

Tymczasem Han załamał dłonie i bezradnie siadł na podłodze.

- No to koniec. Nie ma już dla nas nadziei - szepnął.

- Zawsze znajdzie się większa ryba! - powiedział Luke aby go pocieszyć, jednak jego wysiłki nie przyniosły rezultatów bo przecież to co powiedział nie miało sensu.

- Musimy coś zrobić - rzekł wreszcie Ackbar. - Nie możemy przecież tak tu siedzieć jak jakieś ofiermy. Jeżeli już mam zginąć to wolę zginąć w walce, albo umrzeć na zawał serca podczas uprawiania miłości! Zdaje się, że w tej chwili w grę wchodzi tylko walka. Weźmy broń i spróbujmy przedrzeć się do jakiegoś statku kosmicznego. Może do Sokoła Milenium!

- A kto go będzie pilotował, ty? - zapytał Han.

- Jasne, że mógłbym, sam jestem niezłym pilotem... - wzburzył się Ackbar, jednak Leia uspokoiła go gestem dłoni.
- Możemy dać ci dwa tysiące teraz i osiemnaście kiedy dotrzemy do Alderaanu - powiedziała.
- Zgoda! - odrzekł Han. - Ale zaraz, zaraz. Zdaje się, że Alderaan został zniszczony!
- W takim razie będziesz musiał zadowolić się dwoma tysiącami - odpowiedziała Leia wybuchając śmiechem. Han również roześmiał się a Luke dobył miecza.
- No cóż - powiedział młody Jedi. - Przygoda wzywa nas!

*

Przygotowanie planu działania nie zajęło naszym bohaterom wiele czasu, ponieważ plan ograniczał się do otwarcia drzwi, wyrąbania mieczem świetlnym ścieżki przez las atakujących trupów i ucieczki Sokołem.

- No i jak tam, nanoboty? - zapytał Solo zwracając się do droidów - Gotowe?
- Przepraszam pana - C3PO wydawał się zakłopotany - ale nie jesteśmy nanobotami tylko droidami. Nanoboty to produkt nanotechnologii czyli doprawdy mikroskopijne urządzenia.
- Jesteście, jesteście! Jesteście nanobotami, tylko wyjątkowo dużymi! - odrzekł Han wybuchając śmiechem.
- Threepio nie odpowiedział ponieważ nie udało mu się znaleźć w zasobach swojego twardego dysku odpowiedniej riposty.
- Leia, słyszałaś co powiedziałem?
- Tak - odparła księżniczka z powagą.
- No powiedziałem, że oni są nanobotami, tylko wyjątkowo dużymi. Dobrze, co? Sprytnie to wymyśliłem?
- Może być - odpowiedziała Leia.
- To dlaczego się nie śmiejesz? Nie masz poczucia humoru?
- Mam.
- A może mi powiesz, że ten dowcip nie jest śmieszny?
- Może być.
- Ale co "może być"? Może być, że mi tak powiesz?
- Nie, chodzi o to, że dowcip może być.
- Jak to "może być"? Przecież to śmieszne. Chodzi o to, że niby nanoboty są małe, no bo "nano". Takie małe, że ich nie widać. Więc Threepio nie jest nanobotem bo jest duży. A ja mówię, że niby jest nanobotem - tylko dużym. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- Chyba nie rozumiesz, bo jakbyś rozumiała to byś się śmiała.

Luke tymczasem zakończył dekonstrukcję prowizorycznej barykady, chwycił klamkę i naparł na drzwi.

- Już czas! - powiedział.
- Cała czwórka bohaterów wraz z robotami wypadła na polanę. Luke uniósł miecz, Solo blaster, Księżniczka blaster a Ackbar blaster!
- Mamy dużo blasterów - skomentowała Leia.
- Tak to prawda - odrzekł Ackbar. - Zabraliśmy je nieżyjącym imperialistom. To przykre, że nasze losy splotły się w tak tragicznych okolicznościach i nie udało nam się podjąć z nimi wspólnej walki o trwały pokój, że nie mogliśmy lepiej się nawzajem zrozumieć. Tak to się wszystko w życiu dziwnie plecie, kiedy dochodzi do konfrontacji najlepszych intencji z rzeczywistością.
- A ja z kolei ubolewam, - powiedziała Leia - że Iwona tak szybko zginęła. Zaczynał się rysować ciekawy konflikt. Chciałabym znaleźć się w takiej sytuacji w której musiałabym w ułamku sekundy zdecydować, czy mam jej pomóc czy też pozwolić by np. spadła w

przepaść. Taka próba charakteru, a właściwie jej wynik mógłby znakomicie określić moją osobowość. Zapewne zwyciężyłabym w wewnętrznej walce sama ze sobą i udowodniła, że jestem prawdziwym człowiekiem. A kto wie, może dzięki temu udałoby się nam odnaleźć definicję człowieczeństwa?!

Tymczasem Han, któremu znów przyszło zmagać się ze skurczem - tym razem nosa, oraz z drganiem powieki, jako pierwszy omiół wzrokiem polaną i powiedział:

- No ale właściwie, co to?

Księżniczka i Ackbar opuścili blastery i tylko czujny Luke pozostawał w gotowości bojowej dzierżąc swoją elegancką broń i zastanawiając się czy aby na pewno czasy, które nadeszły są wystarczająco cywilizowane aby mógł jej używać.

Dookoła walały się zwłoki setek zmasakrowanych ewoków i inne, bynajmniej nie żywe już trupy wszelkiej maści. Wszystkie ciała pozbawiono głów a niektóre ramion.

- Ktoś tu odwalił kawał dobrej roboty - powiedział Han.

Luke opuścił miecz i uśmiechając się szeroko wskazał wzrokiem kamień na środku polany. Na kamieniu siedziała postać o sylwetce tak potężnej, że zdawało się iż jedynie księżyc Serpidala mógłby zagrozić jej bezpieczeństwu!

- Chewie! - krzyknął Solo.

Wookie wstał i serdecznie ryknął machając rękami. Przyjaciele ruszyli biegiem w jego stronę.

- Nigdy więcej mi tego nie rób - zawołał Han kuśtykając z powodu skurczu w nodze.

- Wrrrrrrrr - odpowiedział Chewie.

- Niesłychane jest to! - mruknął Luke poruszając palcem wskazującym prawej dłoni. - W chatce niepotrzebnie siedzieliśmy! Śmierć z ręki Wookiego agresorów spotkała.

- Zwyciężyliśmy! - szepnął Han.

- Zwyciężyliśmy? - mruknął Luke nadal poruszając palcem. - Nie Hanie! Nie zwycięstwo to jest. Zastona śmierci opadła! Wojna żywych trupów zaczęła się!

- A weź się wreszcie zamknij, od czterdziestu lat w kółko to samo - krzyknął znowu Luke poruszając palcem lewej dłoni.

- Zamknij się? - Zapytał

- Tak zamknij, ty zielona marudo!

- Sam marudą jesteś! Anakin młody nawet gładzeniem twoim znudził się i na stronę ciemną przeszedł!

- Oż ty!

- A masz!

Dłonie młodego Skywalkera pomknęły ku sobie i rozpoczęły walkę, której pozostali uczestnicy wydarzeń przyglądali się w niemym osłupieniu. Palce spletały się ze sobą w uścisku, to znowu odpychały się, niekiedy miotaly przeciw sobie błyskawice to znowu dłonie zaciskały się w pięści i z łoskotem zaciężnych armii wściekle na siebie napierały. Czasem, gdy prostował się środkowy palec prawej dłoni Luke wołał obcym głosem:

- Mnie w to nie mieszajcie! Hej Luke! Uspokój ich wreszcie. Tak nie może być!

Wreszcie, po całym parseku zmagania palce dały za wygraną i najwyraźniej widząc, że szala zwycięstwa nie przechyli się na żadną ze stron zrezygnowały z walki.

- Przepraszam mistrzu, nie powinienem sprzeciwiać się tobie - powiedział Luke.

- Rozumiem ja to - odpowiedział sam sobie. - Jesteś bardzo mądry Obi Wanie, znacznie mądrzejszy niż ja. Wielkim mistrzem będziesz kiedyś. Albo właściwie byłeś! Tak byłeś, bo żyjesz już nie!

Dłonie podały się sobie nawzajem na znak zgody a Luke odetchnął z ulgą.

Wszyscy przyjaciele roześmiali się bijąc brawo, zaś Threepio chwycił się za głowę i zabawnie kołyszając biodrami powiedział:

- O rety!

*

Pilot niewielkiej korwety ratunkowej "Deus-ex-machina" - kapitan Milky Bednarz - uruchomił silniki hamujące.

- Uruchomiłeś silniki hamujące? - zapytał porucznik Jarosz, lecz jego słowa zawieruszyły się gdzieś pośród szumu płukających ogniem dysz. Jednak doświadczony kapitan zauważył kątem oka ruchy jego warg.

- Nie! Włączyłem silniki hamujące. - krzyknął.

- A ha! - zawołał porucznik nie słysząc nawet swego własnego głosu. - A myślałem, że włączyłeś silniki hamujące.

Korweta obniżyła lot, niby reżyser kręcący marne prequely dobrego filmu i delikatnie jak koliber osiadła na łące, czyli nie osiadła a zawisła.

- Hahaha! - zaśmiał się kapitan Milky Bednarz. - A nie mówiłem? Tu są żywi ludzie! Zobacz! Biegną w kierunku sznurowej drabinki.

Porucznik Jarosz nie zrozumiał tych słów ponieważ intensywnie zastanawiał się, jak to właściwie możliwe, że wylądowali bez uruchamiania silników hamujących.

Tymczasem kapitan rozkazał załodze składającej się głównie z alderańskich gwardzistów zrzucić sznurową drabinę.

- Właściwie to nie wiem, jak to możliwe, że oni biegli w kierunku tej drabinki, skoro jej tam jeszcze nie było, no ale jakie to ma teraz znaczenie, skoro ratuję ludzkie życie? Przecież ludzkie życie jest warte więcej niż...eeee. Niż... No nie wiem. Ogólnie.

- Ale uratowane ludzkie życie, czy w ogóle, że ktoś sobie żyje? - zapytał wyrwany z zamyślenia Jarosz.

- Chyba uratowane... - odrzekł Milky Bednarz uśmiechając się do przyjaciela. Bednarz był człowiekiem z planety Korelia, którą opuścił mając zaledwie siedemdziesiąt lat ponieważ źle się czuł w roli dziadka. Wiedział, że poza granicami planety, hen daleko w przestworzach takie ograniczenia jak wiek emerytalny, skleroza czy nie trzymanie moczu, nie istnieją. Wzywała go przygoda i był gotów by odpowiedzieć na jej zew, wbrew powszechnemu przekonaniu korelian o niszczącej mocy starości. I faktycznie. W kosmosie znalazło się dla niego miejsce. Rebelia przyjmowała wszystkich. Starcy, kobiety, dzieci, tancerze baletu, rośliny i ryby a nawet ithorianie, tauntauny i przedstawiciele handlowi okazywali się tu przydatni. Każdy dostawał kombinezon, legitymację, bidon z napojem izotonicznym i skierowanie na pierwszą linię frontu. Każdy czuł się potrzebny!

Porucznik Jarosz tymczasem pochodził z planety Oftheapes i należał do rasy soba, charakteryzującej się tym, że dorośli osobnicy odżywiają się jedynie mięsem. Fakt bycia sobą napawał go dumą podobnie jak Bednarza cieszyło jego człowieczeństwo.

Z początkiem ich przyjaźni wiąże się zabawna anegdota. Otóż Maria Callas przechadzała się pewnego razu po jednym z niezbyt oddalonych od jej domu ogrodów, gdy tymczasem na jednej z planet pasa zewnętrznego Jarosz podszedł do Bednarza i zapytał:

- Zostaniemy przyjaciółmi?

Zaskoczony Bednarz niewiele myśląc odpowiedział:

- Tak.

I tak to się właśnie zaczęło.

Tymczasem ostatni uciekinier opuścił leśną polanę i można było wciągnąć drabinę. Nie zrobiono tego jednak tylko stano i patrzono a o tym co widziano, głośno dyskutowano! Oto z ostępów leśnej kniei poczęły wylaniać się najdziwniejsze zdaniem wielu istoty. W kierunku centrum polany ruszyły nieprzeliczone rzesze martwych ewoków, yuzuumów, goraksów i wszelkiej maści potworów oraz zwierząt, które kiedykolwiek umarły, zginęły bądź zdechły na Endorze. Były wśród nich dżdżownice, jelonki, pliszki, martwe bakterie, mniszka brudnica, bezgłowe jazie, pożarte bażanty, ksenomorfy, policjant, wombat, muchy, predator, oczliki, bizon, ukwiały a nawet kitonak z żoną i kochającym Arkiem.

- W samą porę - powiedział uradowany, uratowany właśnie Solo.

- Zdaje się że warto wciągnąć wreszcie drabkę - orzekł soba.

Okazało się, że miał rację bo oto na końcu tego użytecznego, choć prostego przecież w konstrukcji przyrządu odnaleziono skrajnie zmęczonego Lando Carlissiana a także Wedge'a Antillesa.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytał kapitan Bednarz, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Nie dla tego, żeby mu jej nie udzielono, oj nie! Po prostu jako osoba w podeszłym wieku zapomniał o ostrożności i postawił o jeden krok za dużo, przez co znalazł się w otworze przez który wciągnięto drabinę, a po chwili krótkiego lotu, na polanie. Tam zamienił się w pożywny posiłek.

- Łe! - Powiedział Jarosz i objął dowództwo statku. Kiedy przestał się przytulać sam do siebie, bo w końcu to on był dowódcą, wydał stosowne rozkazy, posadził za sterami dwóch nowo mianowanych pilotów a sam, wraz z ocalonymi udał się do mesy by zaproponować im pyszny posiłek. Korweta opuściła atmosferę planety by po kilku minutach wejść w nadprzestrzeń.

Porucznik wpuścił wszystkich gości do eleganckiej jadalni. Zgodnie z zasadami określonymi przez etykietę, naklejoną na przykręconej do blatu stołu atrapie butelki dobrego wina, odmówił krótką modlitwę dziękczynną a później kolejno usadził wszystkich uczestników biesiady: admirała Ackbara, księżniczkę Leię, Hana Solo, Luke'a Skywalkera i Wedge'a Antillesa.

Ponieważ Jarosz pochodził z południa swej planety i wychowano go w duchu dość konserwatywnym, Lando musiał jeść w kuchni, zaś suchą karmę dla Chewbaccy wsypano do miseczki pod stołem. Kiedy Solo próbował protestować, mówiąc: "ale przecież to mocarny Chewbacca", soba uśmiechnął się tylko i powiedział:

- A wiem, wiem. To ten co nie dostał medalu.

Słyszając te słowa Chewbacca karnie wpełzł pod stół zapominając nie tylko o swej umiejętności wrywania ramion, ale nawet o tym, że nie powinien popiskiwać jak myszka. Tymczasem pokładowy kuchcik wraz z pomocnikami dostarczył wyśmienite jadlo.

- Smacznego - powiedziała Leia do Hana.

- Wiem - odrzekł Han, uśmiechając się szelmowsko.

- Proponuję odrobinę pysznego puddingu - odezwał się porucznik.

- Dziękuję, wołałabym budyń - podziękowała Leia mówiąc, że wołałaby budyń.

- W takim razie mogę jedynie zaproponować mięso, bowiem nic innego nie jada się przy tym stole - powiedział Jarosz.

- A pudding? - zapytał Solo.

- Pudding jest wyśmienity - odezwał się Luke poruszając palcem.

Leia z niepokojem zwróciła w jego stronę wzrok i po chwili zastanowienia odezwała się w te słowa:

- Co się z tobą dzieje Luke? Ostatnio odnoszę wrażenie, że nie jesteś sobą!

- Nic dziwnego - wtrącił się Jarosz - Przy tym stole sobą jestem tylko ja!

Niespodziewanie pod stołem coś gruchnęło i porucznik zaniemógł patrząc chwilę z niedowierzaniem na wypalona w swym brzuchu dziurę.

Han Solo schował blaster i zaczął pogwizdywać rozglądając się niewinnie po pomieszczeniu, jakby to nie on był sprawcą zamieszania.

- Dobrze, że my, soby, nie mamy w brzuchu żadnych ważnych narządów, bo bym się zdenerwował - powiedział porucznik.

- Grrrrrr - zawołał spod stołu Chewbacca, niezadowolony z tego że Solo omal nie osmalił mu nosa.

- Zimno mi. - powiedział Han.

- Ups. Niedobrze! - stwierdził Luke ale nie dał tego po sobie poznać, choć niepotrzebnie bo wszyscy i tak wiedzieli że to on..

- Proszę zabrać generała Solo do ambulatorium - polecił Jarosz, po czym zmarł gdyż mimo braku uszkodzeń ważnych narządów po prostu się wykrwawił.

Lando wykorzystał okazję, pierzchnął z kuchni i dosiadł się do przyjaciół.

- Wiecie co? - zapytał. - Mam wrażenie że o czymś zapomnieliśmy. Czy jesteście pewni, że stanowimy pełną załogę? Nikogo nie brakuje?

Chewbacca wyszedł spod stołu i również usiadł na krześle. Pech chciał, że na tym samym co Lando.

- A! - krzyknął Lando.

- Na zdrowie - zawołała Leia.

- Ale ja nie kichnąłem - powiedział Carlissian.

- Nie? - zdziwiła się Leia. - Nie szkodzi. Zdrowia nigdy za wiele. Byleby zdrowie było a z resztą jakoś będzie.

- Wiem! Roboty! - krzyknął Chewbacca w basicu.

- O cholera - krzyknęli wszyscy naraz. Nawet załoga korwety i mieszkańcy pobliskich układów.

- No to ładnie - powiedział Luke. - Teraz musimy po nie wrócić!

Nagle wstał, złapał się za serce i usiłował łapczywie chwytać powietrze. Wreszcie zachwiał się i ciężko opadł na krzesło.

- Co się stało? - spytała Leia.

- Poczułem zaburzenie mocy. Zupełnie jakby jeden głos krzyknął w przerażeniu a potem zamilkł na zawsze. Stało się coś złego, lub co najmniej średniego.

Twarz Lei stężała.

- Han!

I w tym momencie uszu naszych bohaterów dobiegł przerażający hałas zwany tumultem.

Przerażeni pielęgniarze wraz pielęgniarzami, lekarzami i sanitariuszami uciekali gdzie pieprz rośnie czyli do pokładowej szklarni.

- Ratuj się kto rzeka! - krzyczał jeden z nich.

- Chyba kto morze! - poprawił drugi.

- Raczej może. - wtrącił się kolejny.

- Nie czepiaj się, mam zaświadczenie o dysleksji...

Nasi bohaterowie przerwali posiłek i wybiegli na korytarz aby na własne oczy zobaczyć co się stało. Kiedy z ambulatorium wyszedł straszliwie okaleczony lekarz z odgryzionym uchem, zrozumieli, że gorzej być nie może.

- To niemożliwe! - krzyknęli zgodnym chórem. - Niiieeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee!

W kosmosie nikt nie usłyszał ich krzyku.

KONIEC